

coś szeptało, że wszystko na świecie jest głupstwem, wobec ukochanej kobiety.

Szli wolno, bo nie spieszyło im się wcale i radziby byli iść tak jak najdłużej, ale nakoniec zaszli do jej mieszkania. Zajączkowski, choć zajęty był wyłącznie swą piękną towarzyszką, choć w tej chwili nic poza nią dla niego nie istniało, jednakże uderzony był elegancją i komfortem, jaki tu ujrzał. Lokal mieścił się w dużym domu, zajmował cały front, składał się z kilku pokoiów, umeblowanych zbytkownie, pełnych zwierciadeł, bronzów, dywanów, mnóstwa cacek, rozrzuconych w pozornym, jednakże pełnym smaku nieładzie. Robiło to tym dziwniejsze wrażenie, że tam w Kalinówce państwo Pijewodkowie mieszkali w prostej, drewnianej chałupie wiejskiej, strzechą krytej i posiadali wszystkiego dwa pokoiki i kuchnię, której zapachy zawsze Niemile drażniły szlachecki nos Władka. Tu zaś na oknach, na etażerkach pełno było kwiatów, choć to zima była, czerwieniły i złociły się strzępiaste chryzantemy, a przepyszne tuberozy duszącą wonią napęniały salon, pełen tajemniczych cieni od przyćmionej purpurowym abażurem lampy. Tam, w Kalinówce, były także kwiaty, bo pani Jola kochała się w nich, ale mieściły się w kilku zwyczajnych doniczkach na oknie lub w skromnych szklanych wazonikach na paru stołach prostych, wytartym kilimkiem pokrytych; tam były proste, staroświeckie krzesła, włosiem kryte wraz z tradycyjną kanapą na środku o rozmiarach potężnych, tu pełno krzesełek małych, okrągłych, miękkich, złotym adamaszkiem błyszczących, kozetek, zachęcających do cichej pogawędki, dywanów, portyer, ogromnych azalii, fikusów i oleandrów, zapraszających pod swój cień ukochaną parę.

Ale choć to wszystko uderzyło Władka dziwną sprzecznością ze skromnym, prawie ubogiem mieszkaniem pisarza gminnego w Kalinówce, jednakże nie miał czasu, nie mógł zastanawiać się, ani myśleć o tem wobec ślicznej Joli. Na chwilę zostawiła go samego w tym zbyt kownym salonie, by zrzucić z siebie futerko i zaraz potem ukazała się już w sukni tylko, szeleszcząc jedwabiami i koronką, wspinała w swej postawie boskiej Junony, z twarzyczką o karnacji i jędrności kararyjskiego marmuru, ustach purpurowych i oczach dużych, czarnych, aksamitnych, mieniących się w szafir, słodkich, a ognistych, łąz melancholii powleczonej.

— Boże, jakaż ona piękna jest dzisiaj! — mówił sobie Władek.

Bo zapewne, pani Jola była zawsze piękna, ale w Kalinówce, w prostaczym, ubogiem otoczeniu, w prostej perkalikowej lub wełnianej sukience, traciła dużo na uroku i blasku, którego tutaj dodawał jej ten salon wykwiśnięty, te wonie upajające kwiatów, te tajemnicze półcienie, ten szelst jedwabów i koronek.

I siedli sobie w kącie, pod cieniem ogromnej, drżącej wiecznie tui i rozpoczęli pogawędkę długą, nieskończoną. Ona się pytała, co on robi w Warszawie, gdzie bywa i czy zawsze o Loli z Kalinówki pamiętał, i szeptała cichym półgłosem, jakby się lekali, by ta drżąca nad nimi tuja nie pochwyciła zdradziecko ich słów. Zdala, przez przysłonięte ciężkimi framkami okna, dochodził do nich głuchy szum, turkot, potężny oddech płuc wielkiego miasta i sami nie wiedzieli, kiedy spoili się ich ręce, a za rękami i usta... I ta denerwująca cisza, ta upajająca woń tuberoz i te cienie tajemnicze, te pocałunki zdradzieckie rozgrzały ich krew i sami nie wiedzieli, jak i kiedy się to stało... co się stało... Tam, w Kalinówce kochali się tak samo jak tutaj, ale tam złemi oczami spoglądał na nich Wasilij Iwanowicz Pijewodkow, a jeżeli nie on spoglądał, to patrzyła na nich natura, szerokie niwy polskie, złociste łąny żyta i pszenicy, pełne czerwonych maków i habrów modrych, tam rozciągał nad nimi ramiona stary krzyż, na pół zmruszały i nie pozwalał niejako, by w chłopcu budził się brutalny samiec, a w niej żadna uścisków samica. Ale tu, wśród tej woni upajającej, tych jedwabów, na tej miękkiej, lubieżnie łaskoczącej kanapie...

Podniosła się, wyrwała prawie gwałtem z jego namiętnych objęć, poprawiła i wyprostowała zmięte

fałdy sukni, wstydliwie zapięła haftki bluzki i stała przez chwilę niema, jakby zamyślona o czemś.

— Gniewasz się na mnie? — spytał Władek cicho, głosem drżącym.

A ona zbliżyła się do niego, zawisła mu obiema rękami na szyi i całując go, szeptała:

— O, nie! nie gniewam się wcale i kocham cię nad życie. To, co się stało, dobrze się stało. Dość mam tego życia, jakie dotąd pędziłam i ja mam prawo zaznać trochę szczęścia i trochę rozkoszy z człowiekiem kochanym. Nie! nie! wcale się nie gniewam i jestem szczęśliwa.

A potem nagle zerwała się, odeszła od niego i rzekła:

— Ale dość tych upojęń. Mówmy rozsądnie, rozpatrzmy nasze położenie. Gdzie mieszkasz?

— Dlaczego się pytasz o to?

— Bo nie zawsze będziesz tu mógł przychodzić, a wtedy ja zajdę do ciebie.

Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Mieszkam stąd daleko, na Mokotowskiej ulicy, ale muszę się stamtąd wynieść, bo policja ma na



...i sami nie wiedzieli, kiedy spoili się ich ręce, a za rękami i usta...

mnie zwrócone oko. Muszę sobie wyszukać gdzieś nowe mieszkanie, zmienić nawet nazwisko, żeby się ukryć przed okiem szpiclów...

Teraz ona się na chwilę zamyśliła, wreszcie rzekła:

— Wybornie się składa. Mamy tu jeden pokój z osobnym wejściem, który nam jest wcale niepotrzebny, którego nie zajmujemy, pustkami stoi i mój mąż... mąż! (zaśmiała się szyderczo) chce go odnająć. Weź go!

— Hm! byłoby to przesłiznie, ale wątpię bardzo, czy twój mąż zgodzi się na to, bym ja właśnie odnajął ten pokój. Wszak już w Kalinówce boczył się na mnie i podejrzyszał nas oboje...

— To było co innego. Tutaj jest on zajęty nadzwyczajnie, często wyjeżdża, ma jakieś interesa, sprawy, których ja nie rozumiem, bo mi o nich nie chce mówić, a zresztą, prawdę powiedziawszy, co mnie mogą obchodzić sprawy i interesa pana Pijewodkova?... ciebie kocham i ty mnie jeden obchodzisz...

— Tak, ale pan Pijewodkow nie zgodzi się na to, bym tu mieszkał.

— Zostaw to mnie. Jutro kartę wywiesić każe, a ty przyjdź o trzeciej popołudniu. Pan Pijewodkow

będzie w domu... rzecz całą ułożymy odrazu i ja będę najszczęśliwszą z kobiet, mając ciebie przy sobie. Co! dobrze? powiedz, czy dobrze? czy cię mój projekt cieszy?

Oczywiście, że go cieszył i nowymi pocałunkami tę uciechę utwierdził i chciał dłużej tu jeszcze w tym rozkosznym salonie pozostać, ale ona kazała mu się wynosić, bo już jest koło północy, a pan Pijewodkow zwykł o tej porze wracać do domu. Nie trzeba, żeby zastał tu Władka, żeby wiedział o jego pobycie w Warszawie. Jutro niby przypadkiem się spotkają.

Więc wyszedł na pół pijany szczęściem, rozmyślając o wszystkich fazach tego wieczoru, uprzytomniając sobie każdy moment jego dziejów, drząc jeszcze od rozkoszy jej objęć i jej pocałunków.

II.

I stało się tak, jak się umówili. Władek znalazł Pijewodkova mało zmienionym, tylko jeszcze brzydszym, jeszcze wstrętniejszym, jak dawniej. Tak samo miał głowę nieuczesaną, na pół łysą, rzadkim, płowym, a raczej niezdecydowanej barwy włosiem pokrytą, tak samo twarz jego nosiła wszystkie znamiona poziomych namiętności i instynktów, tak samo małe, spłowiałe, ale złe, świdrowate i niespokojnie biegające oczy patrzyły na Władka podejrzliwie i chytrze.

Tylko teraz był ubrany lepiej, jak dawniej, tam w Kalinówce; miał czysty, dobrze skrojony surdut na sobie, a u kamizelki wisiał mu gruby łańcuch złoty od zegarka. Świadczyło to zapewne o złym, ordynaryjnym jego guście, jak i mnóstwo pierścieni na długich, chudych, jastrzębich palcach, ale zarazem mówiło o zamożności jego właściciela.

Siedział za stołem, bo właśnie obiad kończył, gdy Władek wszedł (na którego widok twarz Joli oblała się rumieńcem) i nie pił już monopolki ze zwykłej butelki, ale z pięknej karafki rzniętej, przyczem wódka ta zabarwiona była jakimś sokiem, czy czemś innym. Był zdziwiony widokiem dawnego znajomego z Kalinówki, zgodził się chętnie na jego propozycję, ale, jak zawsze, podejrzliwy, pytał:

— A wy pan skąd uznali, co ja tu mieszkam?

Musił mu się Władek tłumaczyć, że wcale nie „uznał“ o tem, że nawet nie wiedział o pobycie Wojewodkova w Warszawie, tylko szukając od paru dni mieszkania i przechodząc przez ulicę Elektoralną, zobaczył na bramie domu kartę o wynajęciu pokoju, a że cena wydała mu się przystępną, więc przyszedł tutaj i cieszy się, że spotkał dawnego znajomego.

— Da, da, dawnego znajomego — mruknął Pijewodkow i sięgnawszy po karafkę, nalał sobie w kieliszek i znowu pytał:

— A wy, pan Władysław, co działacie w Warszawie?

Pan Władysław słuchał tych pytań, a patrzył na Jolę, która siedziała milcząca, z twarzą pokrytą palącym rumieńcem może wstydu, i pożerał oczami, a w myśli przypominał sobie wieczór wczorajszy, miękką kozetkę pod cieniem drżącej tui i piękną Jolę, jak sobie zapinała haftki stanika i prostowała pomięte fałdy sukni. O! takich scen nie zapomina się nigdy w życiu. I tak w tych wspomnieniach zagłębił się, a patrząc na Jolę, pewnym był, że i ona przebiega w myśli wszystkie momenty wczorajszego dramatu, że nie odpowiadał na pytania Pijewodkova, aż ten musiał je powtórzyć.

— Nic nie działam — odrzekł nakoniec Władek — chodzę na kursa handlowe, uczę się buchalterii.

— A! buchalterii... nu, to i dobrze, to się wam, pan Władysław, przyda. Pany i szlachtycy polskie nie znali nigdy co to rachować, nu, my ich teraz przyuczylimy. Pan, panie Władysław, kup sobie szczoty, niema nic lepszego na świecie, jak szczoty, a?

(Ciąg dalszy nastąpi.)